

Ziemia i Morze, wrzesień 1979

JAN PAPUGA

Przypadek szczególny.

Stanisław Telega

cz. II

Przyjrzyjmy się teraz „opiekuństwu literackiemu” nad innym pisarzem, również samoukiem, o innej, choć niemniej trudnej drodze do literatury. Myślę o Janie Papudze, autorze wydanych po wojnie czterech tomach opowiadań — „Szczyry morskie” (1946), (wydanej wcześniej w Londynie jako „Najpiękniejszy rejs” w 1945 r.), „Guadalajara, Guadalajara” (1965), „Rio Papagaio” (1969) i „Oceany, oceany” (1975).

Ten ostatni tom jest zbiorem wybranych przeze mnie opowiadań wraz z przedmową i został wydany w rok po śmierci autora.

Otóż to, co dzieliło Papugę od Wojciechowskiego czy Necla wynikało nie tylko z dużej, w stosunku do nich, różnicy wieku i wychowania w polskiej już, niepodległej szkole i środowisku. Miał więc Papuga

poczucie większej niezależności osobistej i szerszy, nawet jak na samouka, kontakt kulturą. Ważniejsza jednak była różnica osobowości między nimi, która Papugę, syna wsi, a potem wielkomiejskiej Łodzi, wczesnie oderwała od rodzinnego bruku, aby skierować go na morze i wyzwolić w nim najgłębsze marzenia oraz stać się tu właśnie rzeczywistą szkołą poglądów i uczuć. W związku z tym nie był on tak jednostronnie związany ze swym środowiskiem jak np. Necel z rybacką kaszubszczyzną, wyrósł w większym poczuciu wolności i wrażliwości na sprawy społeczne, w namiętności do poznawania coraz to nowych światów, ludzi i krajobrazów.

Necel był jakby żywym, polskim portretem holenderskiego rybaka, ciężkiego i zwalistego, zakochanego w małych, smutnych checzach kaszubskich i tęskniącego nawet na dalekich wodach do tego małego, przybrzeżnego światka, w którym czuł się najlepiej. Papuga natomiast był przykładem typowego włóczęgi i obieżyświata, nie przywiązanego do jednego zakątka ziemi czy morza, niesyty urody życia i świata. To nie tylko bieda w „parszywej Łodzi”, jak to z inteligenckim wzruszeniem pisał o nim jeden z krytyków, spowodowała, że nie ukończył przed wojną pełnej szkoły podstawowej, lecz również, a może przede wszystkim, młodzięncze i ciągnące się do ostatnich

lat życia rojenia o dalekich światach i ludziach sprawiały, że nie zagrzał nigdzie długo miejsca, że związany w końcu ze Szczecinem nawet stąd projektował coraz to nowe i coraz fantastyczniejsze wyprawy i włości.

Ponadto po wyzwoleniu i wydaniu w kraju swej pierwszej, „londyńskiej” książki miał Papuga nadmiar możliwości materialnych i duchowych, i aż nadto taryfy ulgowej, aby skończyć nie tylko pełną szkołę podstawową, ale nawet średnią. I nie tylko ja namawiałem go do tego. Nie posłuchał rad, gdyż — jak twierdził, — ważniejszą sprawą była twórczość, przy czym zdawało mu się, że będzie mógł wydawać niemal co roku jedną książkę. Potem, gdy z pisania nic nie wychodziło, jego pasja skierowała się ku życiu, a raczej ku marzeniom o innym życiu, a więc próbom zakładania na wyspie Karsiborskiej na Zalewie Szczecińskim „Osiedla Marynistycznego”, to znowu rybaczenia na tymże zalewie z grupą jakichś „walnych chwatów i zuchów”, potem plan wypraw do Algieru, aby pomagać partyzantom algierskim jako ...ich korespondent wojenny, a gdy i z tego nic nie wyszło, podjął wędrowkę do Bieszczad i próbował tam założyć „falanster literacki” dla pisarzy z całego kraju.

Niezależnie od tego zawróciły mu trochę w głowie pierwsze honory i honoraria literackie, pierwsze

bruderszafty z najwybitniejszymi pisarzami w łódzkim „Kopciuszku” czy w szczecińskim środowisku literackim. Zresztą, czy w aurze tamtych czasów nie brzmiał dla niego zachęcająco i przekonująco osławiony slogan, że nie matura, lecz chęć szczerą zrobią z niego nie tylko oficera, ale także pisarza, a twórczość spłynie sama jak atrament po piórze? Po cóż więc matura, szkoła, nauka, gdy się ma talent literacki? Nie zmienił tego zdania również po moim artykule w „Kuźnicy”, w którym porównując go do Londona ostrzegałem przed złudzeniami „talentyzmu” i przypomniałem ciężką, dwuletnią drogę Londona do matury oraz przytaczałem wypowiedzi pisarzy radzieckich żądających od pisarzy wysokiego poziomu wykształcenia.¹⁾

Tymczasem im bardziej Papuga marzył o morzu i wyprawach w świat, tym bardziej morze oddalało się od niego na skutek szybko postępującej technizacji pracy na statkach (wymagającej od marynarzy coraz większej wiedzy) oraz zaostrzającej się sytuacji politycznej, która w końcu, po jednym tylko jego powojennym rejsie do Chin, doprowadziła do pewnej katastrofy w jego życiu. Usunięto go z partii na podstawie fałszywego oskarżenia, a tym samym i z nadziei na pracę na morzu.

Przeżył to głęboko, sielski obrazek nowych czasów zaciemnił się, ale wiary w niego nie utracił. Jego wiara w socjalizm miała w sobie, podobnie jak i całe jego życie, coś ze snu na jawie, w którym elementy rzeczywistości mieszały się z marzeniami zatracając w końcu granice między jednymi i drugimi. Wynikało to z jego natury, pełnej poetyckości i ciekawości życia, które ujawniały się w zadziwiającym pociągu do włóczęgostwa. Dlatego zawód marynarza wydawał mu się tak atrakcyjny, gdyż widział w nim „wieczne włóczęgostwo” i tak go określił w jednym z wywiadów ze mną wywołując tym gwałtowny protest jednego z doświadczonych kapitanów, a jednocześnie publicystów morskich, Urbana Krzyżanowskiego.²⁾

W rzeczywistości zaś to nie zawód marynarza, ale natura Papugi miała w sobie coś z „wiecznego włóczęgostwa”, podobnie jak osobowość Londona czy duńskiego pisarza Hilmana Wulffa, autora „Słonecznego włóczęgi”. Do tego włóczęgi osobliwego rodzaju. Na statku bowiem był Papuga tylko zwykłym chłopcem pokładowym do wszystkiego, szczególnie do skrobania ziemniaków albo do pomocy palaczom w kotłowni statku, gdyż do żadnej innej wyspecjalizowanej pracy się nie nadawał. Nie były to atrakcyjne prace dla młodzieńca ciekawego życia, szukającego w nim

niezwykłości, egzotyki i coraz nowych wrażeń. (Nic więc dziwnego, że dość często „wieczny włóczęga” po prostu uciekał z pokładu statków, trochę z obrzydzenia do, monotoni wykonywanych funkcji, a trochę, aby powłóczyć się na odmianę po lądzie.

Raz więc, jak wyznał, porzucił statek, aby zobaczyć walki byków w Hiszpanii, innym razem miał dość pracy na przedwojennym pasażerskim statku „Polonia”, wożącym emigrantów żydowskich z Rumunii do Izraela i wrócił dobrowolnie do „parszywej Łodzi”, aby tu przedzierzgnąć się z romantycznego żeglarza-kartoflarza i marynarza-węglarza w lądowego wiercipiętę-listonosza, a potem, przy lepszej okazji, próbować szczęścia w podoficerskiej szkole lotniczej.

1) „O pewnym awansie literackim”, Kuźnica 1949, nr 42.

2) Na morzu czujemy się nieswojo (wywiad z Urbanem Krzyżanowskim), „Odra” 1949, nr 24,

W czasie wojny pływał w alianckich konwojach, to prawda. Ale często, jak sam mówił, „pryskał” ze statków nie tyle z obawy przed walką, ile z jemu tylko wiadomych powodów, których tylko część

odślonił mi kiedyś, gdy już zrezygnował z wszelkiego pływania.3)

Na przykład lubił rysować, miał pewne uzdolnienia w tym kierunku. Zobaczywszy więc kiedyś studentów, a zwłaszcza studentki amerykańskie na brzegu morza, zajęte szkicowaniem nadmorskich pejzaży, zszedł ze statku i zaczął się popisywać przed nimi swoją umiejętnością rysowania, co tak im się spodobało, że zaciągnęli go na ćwiczenia do Akademii Sztuk Pięknych. Tu zobaczył nagie modelki, pozujące studentom, co dla tego, chłopca wychowanego w innym klimacie duchowym było takim szokiem, że szkicował je z arcykomicznymi, nie zamierzonymi przez siebie, skutkami! Oczywiście, że na statek nie wrócił, takie studia były tysiąc razy ciekawsze niż morze i statek. Tym, którzy by chcieli widzieć go na wyniosłym piedestale literackim albo jako syna ludu zgnębnionego brakiem pracy przypomnę, co powiedział w wywiadzie, gdy zapytałem go o początki „kariery literackiej”.

„Kiedy zacząłem pierwszy raz pisać, czułem się wyłącznie marynarzem. Było to w więzieniu, w El Paso, gdzie mnie przymknęto za włóczęgostwo. Od najmłodszych lat byłem niepoprawnym włóczęgą. Wierz mi, marynarz to wieczny, wielki włóczęga. Nie do wiary jednak, jak dobrze się wtedy czułem w

więzieniu, zmęczony długimi włóczęgami. Mogłem spokojnie pomyśleć o życiu i przeczytać kilkanaście amerykańskich magazynów wypełnionych nowelami...”

Przypomina się London ze wspomnień „Na szlaku”, który również przyznawał się do niepoprawnego włóczęstwa i podrwiwał nawet z tych życzliwych mu krytyków, którzy próbowali tłumaczyć jego włóczęstwo rzekomymi „Studiami socjologicznymi”, gdy tymczasem było to według niego tylko pragnienie wielkiej przestrzeni i bujności nieskrępowanego życia.

Ale w Papudze-włóczędzie, w Papudze-poszukiwaczu wrażeń tkwiła nie tylko ta sama, Londonowska pasja, ale także poetycka natura marzyciela, który szukał ucieczki od szarzyzny życia proletariackiego i marzył o szczęśliwym świecie. Dlatego brał udział w konspiracyjnych poczynaniach młodych komunistów łódzkich. Nie była to jednak świadoma działalność konspiratorska, raczej typowa kontestacja marzyciela. I dlatego, jak sam przyznaje w wymienionym tu wywiadzie, widząc, jak wpadają jego koledzy, a nie widząc w sobie zadatków na męczennika idei, uciekł na morze, gdy tylko nadarzyła się po temu sposobność.

Kiedy pojawił się w Szczecinie i osiadł tu na stałe, pełny był wiary w swoje pisarstwo, w swój talent, dlatego m.in. nauka wydawała mu się raczej hamulcem aniżeli podniętą do twórczości. Poza tym czuł się doskonale w promieniach powszechnej opieki, nie miał żadnych kompleksów okupacyjnych czy ideowych. „Opieka ta — jak słusznie zauważył

potem B. Czeszko — miewała też aspekty ideowe i polityczne. Wydawało się bowiem oczywiste, że proletariusz z krwi i kości, marynarz i to bynajmniej nie oficer skażony inteligenckimi narowami, lecz człowiek ciężkiej, fizycznej pracy, idealnie pasuje do modelu „pisarza ludowego”, że z natury rzeczy można z korzyścią dlań sugerować pisarską służbę dla młodej — jeszcze podówczas — polskiej rewolucji i że w końcu można by go włączyć do owej galerii mędrców ludowych, pamiętnikarzy i gawędziarzy...” 4)

Tymczasem rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana niż wyobrażenia Papugi i jego protektorów. Wydawało mu się na przykład, że po tak szybkim wydaniu pierwszej książki następne przyjdą równie łatwo. Tymczasem na wydanie następnej musiał czekać ... niemal dwadzieścia lat!5)

Dlaczego tak się stało? I co się stało? Po prostu to, co jest losem każdego samouka. Jego droga do własnego stylu, do świadomego pisarstwa musiała być długa i pełna bolesnych, szczególnych zawiłości. Porównanie pod tym względem „Szczerów morskich” z roku 1946 z „Guadalajarą” z 1965 roku jest bardzo znamienne. Są to po prostu dwie różne książki, dwa różne debiuty i dwa różne okresy w życiu tego samego pisarza. Pomiedzy nimi jest właśnie to, co było jego dramatem, a zarazem

zwycięstwem, zadziwiającym poświęceniem i bolesnym wyborem drogi, która początkowo wydawała się łatwa, a potem, dosłownie z każdym rokiem, coraz cięższa, coraz trudniejsza i bardzo często przekraczająca jego siły.

Bo bywało przecież i tak, że obserwowaliśmy u niego jakby cofnięcie się w sztuce pisania, jakieś nawroty już nie do małego, ale wręcz naiwnego realizmu, opowiadania nie dorównujące najslabszym ze „Szczerów morskich”.

Dziwiło nas to i niepokoiło, u wielu wywoływało nawet przekonanie, że Papuga zostanie, podobnie jak wielu samouków, autorem „unius libri”. Podobne wrażenie odnieśliśmy na jednym z pierwszych zebrań twórczych Oddziału ZUP w Szczecinie, kiedy czytał nam bodajże w roku 1951, jakieś swoje opowiadanie. Pamiętam, że wszyscy — z J. Andrzejewskim, E. Osmańczykiem, Fr. Gilem i W. Wirpszą na czele — długo i bezskutecznie próbowali przekonać Papugę, że opowiadanie trzeba „przerobić”, że trzeba wyjść poza naiwny, nużący tok akcji, stylu, psychologicznych motywacji, obrazowania itp. Pamiętam też, że ze swej strony próbowałem przekonać go przykładem Tuwima, przypominając jego słynny artykuł w przedwojennych „Wiadomościach Literackich” wraz z facsimile swego wiersza. Z piramidy skreśleń,

poprawek, coraz to nowych wariantów, dopisków i przeredagowań wyłaniał się obraz pięknego wiersza będącego owocem ogromnego trudu, którego nikt nie podejrzewał, tak bowiem naturalnie i nieodparcie narzucał się czytelnikowi.

O dziwo, Papuga był wtedy nieugięty, nie chciał słyszeć o żadnych poprawkach, co więcej — lansował jakąś, po swoim wymyśloną, teoryjkę, że pisanie jest jak miłość, która nie potrzebuje retuszu. Dopiero w dwadzieścia lat później, po wydaniu „Guadalajary” podczas rozmowy ze mną, nagranej na taśmie, ujawnił zadziwiające szczegóły o swojej pierwszej książce i opowiadaniach.

Otóż przyznał wówczas, że w Londynie poprawiano mu prawie wszystkie opowiadania, wymieniał nawet mało znane nazwiska poprawiających! Dlaczego wtedy, w roku 1951, mówił inaczej? Dlaczego nie chciał uznać autorytetu najzyczliwszych mu ludzi? Prawdopodobnie tamte poprawki jego tekstów wywołały w nim pewien uraz, a ponadto wydawało mu się, że teraz pisze rzeczy lepsze, nie wymagające cudzej ingerencji.

3) Z rozmowy nagranej na taśmie magnetofonowej (w posiadaniu autora artykułu).

4) B. Czeszko, Rzeka Jana Papugi, „Nowe książki”, 1969, nr 15, s 1040.

5) Nie uwzględniam tu opowiadania pt. „Porucznik Woda”, wydanego jako druk zwarty w 1948 roku w postaci dodatku do jednego z pism śląskich, które prowadziło cykl tych dodatków pt. „Co tydzień powieść”. Ani to powieść, liczy bowiem zaledwie kilkanaście stron, ani opowiadanie wnoszące jakiegokolwiek wartości.

A może zawróciła mu głowę swoista adoracja jego „naturaśczykostwa” ze strony różnych mętnych wielbicielek, urzeczonych jego „czystą ludowością” i czystą „proletariackością”, jak w owym wierszu Majakowskiego o poecie Lutku?

„I cóż za porównanie do naszego Lutka!

Lutek drogę w przyszłość nam mości!

W Lutka wierszach brzmi Kominternu

pobudka!

U Lutka niewiedzę, gdzie przecinek, gdzie

kropka

Zastępuje instynktowne klasowe podejście!

Albowiem matką Lutka była chłopka,
A ojcem — robotnik i chłop jednocześnie!”

Tymczasem lata upływały, a jego rękopisy wędrowały coraz bezskuteczniej po redakcjach, budziły złe refleksje i załamania. Powoli godził się już na poprawki, np. w Rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie, byle tylko drukować i ogłaszać, byle móc wierzyć w swoje pisarstwo. Potem jednak nie chcieli go drukować nawet w Szczecinie, a co gorliwsi, prymitywni dziennikarze zaczęli głośno i niedwuznacznie wyrażać opinię, że z Papugi nic nie będzie, i że — co gorsze — staje się on szkodliwy, bo „sam nic nie robi i jeszcze młodych „zaraża lenistwem”. A gdy po jego nieudanym rejsie do Chin zamknięto przed nim definitywnie drogę na morze, przeżył najcięższy chyba w swoim życiu okres i zwątpił w swoje pisarstwo (o czym pisze z taką goryczą w opowiadaniu „Powrót na morze”).

I chyba wtedy dopiero, z tych zwątpień, załamaniań, a jednocześnie upartej pracy nad sobą, zaczęło się powoli rodzić u niego właściwe rozumienie literatury, własnego stylu i osobowości. Jego opowiadania z tego okresu tracą dotychczasową gładkość i jednowymiarowość, zaczynają być celowo chropowate, oszczędne w słowach, wypraco-

wane. Ale wtedy jeszcze nie wszystko mu się udawało. Była nieraz ciekawa koncepcja, ale szwankował natrętny komentarz albo długi psychologiczne. Albo odwrotnie. I znów maszynopisy jego wędrowały od jednej redakcji do drugiej, odrzucane, często nawet bez słowa wyjaśnienia.

Kiedy miał dość tych niepowodzeń i samej twórczości, szukał rekompensaty we włóczęgach. Jego marzycielsko-naiwna, a jednocześnie surowa osobowość, jego ustawiczne rojenia o życiu podobnym do snu na jawie pchały go do coraz to nowych, niezwykłych projektów, od wspomnianego już wyjazdu do Algierii aż do projektu konnej podróży wzdłuż brzegów Ameryki Południowej!

Z długiej, mozolnej pracy nad nowymi opowiadaniem zrodziła się wreszcie — po dwudziestu prawie latach — nowa, ciekawa książka Papugi: „Guadalajara, Gadalajara... ze wstępem M. Misiornego. Książka ta stanowiła jakby drugi debiut Papugi i tak ją oceniłem w jednej z recenzji.⁶⁾ Były to bowiem, z małymi wyjątkami, bardzo dojrzałe opowiadania, a dwa z nich wyróżniały się szczególną oryginalnością: „Singsianz” i tytułowe opowiadanie o „Guadalajarze”. Długo rozmawiałem z autorem i nagrałem fragmenty tej rozmowy, na jej temat. Papuga nie ukrywał, że wielkiej pomocy w jej opracowaniu udzielił mu autor wstępu, M. Misiorny.

Nikt jednak, również i ja, nie dociekał wtedy, na czym ta pomoc polegała, wydawało nam się to bowiem sprawą naturalną w jego sytuacji, a poza tym liczył się jej efekt: książka była dobra i dla autora, i dla czytelników. A potem sytuacja znów się powtarzała. Po udanych opowiadaniach trafiały się słabe i naiwne, choć Papuga dużo nad nimi pracował i nie taił już, że je poprawia, że walczy ciężko o każdy jej kształt. Z tego okresu zapamiętaliśmy — szczególnym zbiegiem okoliczności — dwa bardzo nieudane opowiadania „Tajemnica milionów” i „Ulisses XIX wieku”, umieszczone potem w nowej książce pt. „Rio Papagaio”, choć w całkowicie zmienionej postaci. Zapamiętaliśmy je dlatego, ponieważ Papuga czytał je na spotkaniu autorsko-warsztatowym w tak zwanej „Bramie Królewskiej” w Szczecinie, gdzie spotkały się one wówczas z ostrą, m. in. i moją, krytyką.

Z dużym więc zdziwieniem, a zarazem satysfakcją, przeczytaliśmy je w zupełnie nowej postaci we wspomnianym tomie „Rio Papagaio”. Zapytywany o to Papuga przyznał, że uległy one gruntownym poprawkom, podobnie jak i inne opowiadania z tego tomu, dokonanych przez autora wstępu, M. Misiornego.

Wyjawił mi też wiele innych, zaskakujących szczegółów dotyczących jego samouctwa, często

takich, o jakich mówi się tylko w szczerej, aż do brutalności, rozmowie dwóch nie schlebiających sobie przyjaciół. I rzecz szczególna, że chociaż w Szczecinie mówiono bez osłonek o tej współpracy z Misiornym, nikt z recenzentów czy czytelników nie wystąpił o to z pretensjami do autora czy do jego korektora literackiego.

Potem — ufny w swoją siłę fizyczną i duchową i urzeczony własnym, jak mu się zdawało, niezwykłym pomysłem przygody, na jaką się nie zdobył przed nim żaden pisarz — wyruszył Papuga — już jako pasażer na polskim statku — do Afryki, aby — mówił po swojemu — „przerznąć ją w poprzek, od oceanu do oceanu”. Przygoda skończyła się dla postronnych humorystycznie, dla niego zaś dramatycznie, gdyż nie chciał widzieć całej jej absurdalności.⁷⁾ Dramatycznie dlatego, że w przeciwieństwie do wszystkich innych swoich przygód, nie chciał czy nie mógł przyznać się do klęski, unikał rozmów o niej, a przyczyn jej niepowodzenia doszukiwał się jedynie w „papierowej dżungli przepisów”. Miały mu one rzekomo uniemożliwić wykonanie swoistej podróży autostopem i pieszo, z małym chlebaczkiem przez ramię i dwudziestoma dolarami w kieszeni, z ambicją występów literackich i dorywczej pracy, przez kraje kilkunastu różnych państw i plemion murzyńskich, klimatów, języków,

religii, obyczajów, dróg i buszów afrykańskich!

W rezultacie fałszywa diagnoza własnego niepowodzenia uniemożliwiła mu też właściwą jej interpretację literacką powodując sztuczność i naiwność w kilku drukowanych fragmentach owej nieudanej powieści.

I wreszcie — niemal na rok przed śmiercią — podjął ostatnią w życiu podróż, na skromną już skalę, do kraju Łużyczan w NRD, ale w podobnym jak dotychczas stylu, mianowicie pieszo i autostopem, z chlebakiem na ramieniu, w bajecznie kolorowej koszuli i krótkich spodenkach koloru khaki. Podróż zakończył ostatnim w swym życiu opowiadaniem — reportażem pt. „Jeszcze raz”, ogłoszonym już po śmierci autora, w skróconej wersji, w szczecińskim miesięczniku „Spojrzenia”.

6) Drugi debiut J. Papugi, „Tygodnik Morski”, z dn. 30.01.1966 r.

7) Przygoda ta posłużyła innemu pisarzowi, Adamowi Kasce, jako materiał literacki do opowiadania pt. „Pątnik”, ogłoszonego w tomie pt. „Goście o północy” (1973). Autor zapytany o to odpowiedział mi w liście z dn. 26 maja 1975 r. m. in. tak: — „W rejsie z nim nie płynąłem, a o jego przygodach słyszałem (bez wymieniania nazwiska)

od marynarzy. Chciałem napisać odpowiadanie o udrękach człowieka pochłoniętego wielką ideą, a nie mogącego jej zrealizować. Przeżycia Papugi (choć pisząc nie wiedziałem, że to był on) dostarczyłyby mi fabułki do opowiadania. Na postać Dominika w „Pątniku” złożyło się co najmniej dwóch literatów i jeden marynarz-motorzysta, to właśnie on „opalał się przy księżycu”. Zdziwiłem się bardzo, gdy po ukazaniu się opowiadania w druku wszyscy jednogłośnie wołali — „Ależ to jest Papuga”?...

W rok po śmierci autora przygotowałem dla Wydawnictwa Poznańskiego wybór jego najlepszych drukowanych i nie drukowanych opowiadań — poprzedzonych moją przedmową — pt. „Oceany, oceany...”. Z opowiadaniem już drukowanymi nie miałem kłopotu, gdyż dokonałem ich wyboru według mego najlepszego rozeznania twórczości Papugi i na podstawie już drukowanej ich wersji. Inaczej natomiast było z nie opublikowanymi tekstami. I oto stanąłem nagle przed poruszonym tu problemem z całą jego złożonością, choć, na szczęście, z pewnymi doświadczeniami innych krytyków i edytorów.

Z nie opublikowanych bowiem opowiadań tylko kilka na kilkanaście! — posiadało wyraźne wartości artystyczne, choć i one wymagały niezbędnego

„szlifu”, który by wydobył z nich, jak z nieobrobionych, surowych diamentów, ów oryginalny, ukryty blask i piękno.

Oczywiście, prawną podstawą takiego zabiegu było uzyskanie zgody na dokonanie tych poprawek ze strony legalnej spadkobierczyni, czyli żony autora, podstawą zaś moralną dotychczasowe — i jak widzimy — dość częste praktyki stosowane w takich przypadkach, w tym również przez wszystkich edytorów Papugi, szukającego zresztą od pewnego czasu takiej pomocy. Ponadto pewną rolę odgrywała tu także moja, prawie trzydziestoletnia, przyjaźń z autorem, liczne z nim wywiady, artykuły, nieustanne dyskusje i spotkania, które pozwoliły mi dokładnie poznać jego swoistą osobowość i twórczość.

Jego przedwczesna, nieoczekiwana śmierć wywołała w mieście wielkie zaskoczenie — był przecież jeszcze w pełni sił, które demonstrował w życiu i twórczości — oraz wzbudzała szczery żal wśród przyjaciół i tej części społeczeństwa, dla którego stał się on swoistą legendą miasta. Ale zdarzały się też rzeczy o typowo prowincjonalnym wymiarze.

Oto swoiste grono wielbicielek autora, „nawiedzonych” przez źle pojętą ludowość i kult dla naturszczykostwa mającego coś z przytoczonego tu

satyrycznego wiersza Majakowskiego, zademonstrowało w szczególny sposób adorację dla autora. Oto — nie pytając o zgodę prawowitej żony! — wielbicielki te interweniowały w Komitecie pogrzebowym, do którego należałem, aby nie chować zmarłego w jakimś normalnym, a już nie daj Boże czarnym, mieszczańskim ubraniu, lecz w na wskroś oryginalnym ubiorze, w jakim chadzał za życia i podczas swych fantastycznych wypraw!

A więc w bajecznie kolorowej koszuli, krótkich spodenkach koloru khaki, rozchełstanym sweterze, itp.!

Na „nawiedzone” nie ma rady. Aby więc uniknąć oskarżeń o „poprawianie” osobowości autora ktoś z komitetu nakazał zamknięcie trumny, bez wystawiania jej na publiczny widok. Ale i to nie zadowoliło „nawiedzonych”. Zasłyszawszy jednym uchem o jakichś moich poprawkach w tekstach Papugi, zainspirowały w miejscowej prasie umieszczenie notatki, że autor pozostawił w rękopisie pewną nie dokończoną powieść i oczywiście znalazł się „ktoś, kto postanowił rzecz doprowadzić do końca” i niemal napisać za autora całą powieść! Kiedy zaś gazeta, która to ogłosiła, zmuszona była sprostować niedorzeczność, znalazł się znów — już po pojawieniu się „Oceanów” w druku — inny „nawiedzony”, tym razem męskiej

natury. Był to miejscowy polonista, który napisał recenzję „Oceanów” i wyraził w niej głęboki, „uczony niepokój”, iż w niektórych tekstach, wziętych z rękopiśmiennej spuścizny, dokonałem niedozwolonych ingerencji i to bez zaznaczenia, w którym miejscu są te poprawki.8)

Jakby na ironię z samego siebie powołał się na fakt, że „w pewnym sensie opiekunem i nauczycielem literackim Papugi był Michał Misiony”. Nie dodał tylko celowo, na czym to „opiekuństwo” i „nauczycielstwo” polegało.

Wobec tego — znając tę sprawę tylko z ustnych wynurzeń Papugi — zwróciłem się do Misiornego z prośbą o wypowiedź, jak to „opiekuństwo” wyglądało w praktyce. Oto zasadnicze fragmenty jego listu na ten właśnie temat.

„Jedno jest pewne — pisze Misiorny — moja współpraca z Papugą oparła się na przyjaźni. To był warunek wstępny. Nigdy nie zdobyłbym się na taki wysiłek bez owego wstępnego uzasadnienia. Wydawało mi się, że go „wyczuwam”. Nie czytałem w jego tekstach ortografii ani składni, ani kompozycji, jak to czynią formalisci, ale tylko i jedynie intencję... Opracowując jego teksty starałem się iść za ową intencją nie dbając o szczegóły. Skreślałem, czasem przestawiałem fragmenty,

wpisywałem jakieś słowa, ale to nie były moje słowa, tylko takie, o których Janek jak gdyby w pisaniu zapomniiał; potem on do tych dopisanych słów przyznawał się niejako. Pokazywałem mu to wszystko, wydziwiał wielce, ile to nad nim roboty, a ja tłumaczyłem, że od tego jest redaktor... Nad żadną własną książką tak się nie napracowałem jak nad tymi dwiema — nad „Guadalajarą” i „Rio Papagaio”. Teraz już nie miałbym tyle czasu”.9)

Cóż można więcej dodać do tej wypowiedzi, podobnie jak do oświadczenia Fenikowskiego, Sadowskiego czy Voglera? Chyba jeszcze to, co przyniosła ostatnio dyskusja w „Trybunie Ludu” na temat funkcji i charakteru pracy samouków-pisarzy z Warszawskiego Klubu Robotników Piszących.10) Otóż stwierdzono w niej wyraźnie, że wśród kilkuset robotników piszących głównie pamiętniki oraz różne relacje ze swego zakładu pracy, wyróżniają się stale jednostki obdarzone ambicjami literackimi. I dlatego nie narzucając fałszywych ambicji literackich ogółowi piszących, trzeba jednakże pomóc literacko tym wybijającym się jednostkom.

I oto dochodzimy do sedna poruszanego problemu. Co począć dalej z rękopiśmienną spuścizną Papugi? Konkretnie — z kilkoma jego mniej lub bardziej udanymi powieściami, które po długich wędrówkach, jeszcze za życia autora,

wracały z adnotacjami, że mogą być wydane, ale pod warunkiem zasadniczych, gruntownych przeróbek (Taki np. warunek postawiło Wyd. MON w stosunku do powieści „Okrutny świat”, do której autor przywiązywał wielką wagę). Czy skazać je na zapomnienie jako „literaturę okaleczoną”, czy też przekazać wybranym krytykom i edytorom do „poprawek”? Wiadomo zaś, że przeróbki powieści są trudniejsze aniżeli opowiadania. I czy wystarczy wtedy, aby na obwolucie czy we wstępie dać tylko adnotację o „opracowaniu literackim” czy też o... „współautorstwie literackim”, tak jak to było np. z Neclem i Fenikowskim?

Przykład Papugi jest tym osobliwszy, że Szczecin czyni starania, aby stał się on pewnego rodzaju symbolem literackim tego miasta. Dlatego organizuje się tutaj co dwa lata konkurs jego imienia na mini-opowiadania, czyni się starania o nadanie jednemu ze statków jego nazwiska, popiera się wydanie jego rękopiśmiennej spuścizny, itp.¹¹⁾ Jeśli więc ta ostatnia sprawa dojrzeje do realizacji wówczas ewentualni edytorzy i krytycy staną przed poruszonym tu problemem w całej jego rozciągłości. Łącznie ze sprawą „nawiedzonych” wielbicielek i Pimciów-recenzentów.

8) „Spojrzenia” (dod. kult. do „Głosu Szcze-

cińskiego”) 1975, nr 42. O tym, że uczoność tego polonisty jest czasami od siedmiu boleści, świadczy wymownie m.in. jeden z użytych przez niego argumentów, iż „Wyka nie miał habilitacji”! Gdyby nawet szczeciński Pimcio polonistyczny nie miał zbyt wielkiego mniemania o UJ i jego wychowanku, K. Wyce, to jako nauczyciel powinien znać jego pracę, na podstawie której uzyskał on habilitację. Ukazała się ona już w 1948 roku, pt. „C. Norwid jako poeta i sztukmistrz”, ponadto o tej habilitacji pisał sam Wyka w „Twórczości”, pt. „Z listów do J. Iwaszkiewicza” i to dosłownie w ten sposób — „W styczniu (1946 czeka mnie habilitacja w uniwersytecie” („Twórczość” 1978, nr 1).

9) List z dn. 26 X 1975 r.

10) Twórcze ambicje i realizm „Trybuna Ludu” nr 194, 1978r.

11) Warto też pamiętać, że Papuga będzie pierwszym szczecińskim pisarzem, który wejdzie do pomnikowego „Polskiego Słownika Biograficznego”, dla którego opracowałem jego biografię i bibliografię twórczości.

załatwiały sprawę przygotowania ubrania dla Zmarłego; byłam też obecna przy wystawieniu ubranych już zwłok. Do dyspozycji były aż trzy czarne ubrania - jedno przywiozła siostra Umarłego p. Janina Stróżyk, drugie oferował jeden z przyjaciół Jana Papugi trzecie chciał dostarczyć Miejski Wydział Kultury. Zdecydowaliśmy jednak razem z Siostrą Zmarłego ubrać zwłoki nie w urzędowe ciemne ubranie, jakiego Jan Papuga nigdy nie nosił i jakiego nie uznawał, lecz w jego własne. I tak się stało - został pochowany we własnym nowym ciemnym ubraniu dżinsowym /długie spodnie i bluza marynarka/ oraz zwyczajnej koszuli, którą Zmarły sobie kupił krótko przed śmiercią.

Komitet Pogrzebowy wcale w tej sprawie - o ile wiem - nie był niepokojony, Była natomiast prośba do Komitetu Pogrzebowego, aby nie otwierać trumny i nie wystawiać zwłok na widok publiczny. Przyczyną tego nie był jednak strój, lecz fakt, że twarz Jana Papugi tak charakterystyczna i wszystkim dobrze znana, była po sekcji bardzo zmieniona - nie do poznania. Chodziło więc o uniknięcie bardzo przykrego wrażenia i pozostawienie w pamięci najbliższych osób prawdziwej twarzy zmarłego Pisarza, Taka jest prawda. Proszę o umieszczenie tego sprostowania w Waszym piśmie.